

Przedmowa

Pasjonują mnie historie kobiet. Kobiet doświadczonych trudami życia, lekceważonych bądź wykorzystywanych, ale silnych i niezależnych, które mimo przeciwności losu odnalazły drogę do sukcesu. Kiedy dzięki moim rodzicom, których pasjonuje literatura żydowska, natrafiłam na postać Ester Kreitman (1891–1954), zainteresowałam się życiem i twórczością pisarki, a zwłaszcza nieco feministycznym zabarwieniem jej powieści i opowiadań. Przeczytałam je wszystkie oraz kilka artykułów zawierających informacje biograficzne o niej. Jednym z pierwszych źródeł, do których sięgnęłam, była opowieść syna Ester Kreitman, Maurice’a Carra *My Uncle Yitzhak*, oraz artykuł Clive’a Sinclaira w magazynie „Lilith” z 1991 roku¹. Zaskoczył mnie fakt, że żadna z książek Kreitman nie została przełożona na język polski, a postać samej pisarki jest w naszym kraju nieznana, poza wąskim gronem osób zajmujących się literaturą żydowską. A przecież Polska jest miejscem, gdzie Ester Kreitman się urodziła, gdzie są jej korzenie i gdzie jej dramat miał swój początek. Stąd pochodzi jej rodzina, znani bracia, pisarze – Isaac Bashevis Singer [Icchok Baszewis] (1902–1991), laureat Nagrody Nobla w 1978 r. i Israel Jehoszua Singer (1893–1944). Dlatego też, choć Ester Kreitman nie może się już cieszyć z tego, jakie zainteresowanie wzbudzają na nowo jej utwory w wielu krajach, postanowiłam zawalczyć o nią i w jej imieniu, nie tylko w obronie dobrej literatury, ale też w obronie kobiety, która nie doczekała się uznania, na które zasługuje.

Rodzina Singerów to nie tylko dwóch utalentowanych braci. W trakcie moich lektur i poszukiwań przekonałam się, że jest to także rodzina, z której pochodzą niezwykle kobiety.

W pierwszej kolejności należy tu wspomnieć o Batszewie Zilberman Singer, matce Hinde Ester, Icchoka Baszewisa i Israela Jehoszui Singerów, którą wspomnienia dzieci oraz liczne biografie braci przedstawiają jako kobietę wykształconą, inteligentną i racjonalną. Te walory intelektualne sprawiły, że jej ojciec, Jakub Mordechaj Zilberman – wybitny rabin z Biłgoraja – wyróżniał ją, zarazem jednak żałował, że nie urodziła się chłopcem. To sprawiło, że Batszewa nigdy w pełni nie zaakceptowała samej siebie, co w przyszłości rzuciło cień na jej małżeństwo z Pinchasem Mendlem Singerem. Sam Israel Jehoszua Singer przyznaje, że „Byliby dobrze dobraną parą, gdyby ona była mężem, a on żoną. Nawet pod względem wyglądu zewnętrznego jedno wydawało się pasować bardziej do roli drugiego”². Była mądrzejsza i bardziej zaradna od swojego męża, który niejednokrotnie prosił ją o rady dotyczące spraw zawodowych. Po zawarciu małżeństwa Batszewa znalazła pociechę w oczekiwaniu na narodziny syna, pragnąc zapomnieć o braku akceptacji własnej płci. Los chciał jednak inaczej. W 1891 roku w Biłgoraju na świat przyszła dziewczynka, Hinde Ester. Niedługo po jej narodzinach, Batszewa oddała małą na trzy lata mamce, u której dziecko mieszkało w trudnych warunkach. Choć Kreitman nie mogła pamiętać tak wczesnych wydarzeń z własnego życia, odmalowała je w opowiadaniu *Nowy świat*, zamieszczonym w tym zbiorze. Jego bohaterka opisuje swoje doświadczenia, kiedy przebywa jeszcze w łonie matki i po urodzeniu, kiedy cała rodzina, a zwłaszcza matka, jest zawiedziona płcią dziecka. Następnie wspomina, jak została oddana mamce, a jej kołyskę ustawiono w jedynym wolnym miejscu w małej chatce – pod stołem, co prawdopodobnie spowodowało trwałe uszkodzenie wzroku, jak relacjonuje potem w swych wspomnieniach syn Kreitman, Maurice Carr³. Hinde Ester dorastała pozbawiona ciepła i oparcia najbliższych, uchodząc za dziec-ko trudne i histeryczne. Pozostała na zawsze w cieniu sławnych braci, choć to ona jako pierwsza wzięła do ręki pióro. Przez wiele lat po jej śmierci w 1954 roku figurowała w literaturze jedynie w przypisach do utworów braci lub tekstów krytycznych na ich temat, a sam Isaac Bashevis Singer, dedykując jej jeden ze swoich zbiorów pt. *Seans i inne opowiadania*, napisał: „Pamięci mojej ukochanej siostry, Minde Ester” (zamiast Hinde Ester). Ten błąd drukarski

można traktować jako swoiste fatum, które ciążyło nad pisarką. Choć jej relacje z matką były bardzo trudne, podziwiała ją za inteligencję i wiedzę. Całe życie marzyła o zdobyciu edukacji, lecz rodzina jej tego nie umożliwiła. W beletryzowanej autobiografii Ester Kreitman, główna bohaterka Dwojra (Debora) pyta: „A na co ja wyrosnę, tatusiu?”. Na co ojciec odpowiada, że „dziewczynki nie muszą na nic wyrastać”⁴.

Hinde Ester doświadczyła bolesnego braku zrozumienia ze strony rodziny, najpierw w Biłgoraju, potem w Leoncinie i Radzyminie, gdzie przeprowadzili się, kiedy Pinchas Menachem został przewodniczącym lokalnej jesziwy i nieoficjalnym sekretarzem rabina. Kiedy postanowiono wydać ją za Awrama Kreitmana, szlifierza diamentów z Antwerpii, miała dwadzieścia lat, uchodziła więc w tamtych czasach za starą pannę. Ester nienawidziła narzeczonego, a sama myśl o jakiegokolwiek intymności budziła w niej odrazę. Godząc się jednak na małżeństwo traktowała je jako ucieczkę i szansę na lepsze życie. Tak się nie stało.

Na początku I wojny światowej Ester Singer wyjechała z Polski do Berlina, gdzie miała miejsce ceremonia ślubna. Zamieszkała z mężem w Antwerpii i urodziła syna Mosze, znanego później jako Maurice Carr, dziennikarza i tłumacza. Jeszcze w czasie wojny cała rodzina przeprowadziła się do Londynu. Większość czasu w Anglii żyli w skrajnym ubóstwie, ponieważ Kreitman okazał się niezdolny do utrzymania rodziny. Hinde Ester zajęła się tłumaczeniem literatury, ale przynosiło jej to znikomy dochód. Przełożyła na jidysz Opowieść wigilijną Charlesa Dickensa oraz Intelligent Woman's Guide to Socialism and Capitalism Bernarda Shawa. Postanowiła też ponownie zająć się pisaniem własnych tekstów. Dlaczego „ponownie?”. Otóż kiedy wyjeżdżała do Berlina, zabrała ze sobą kilka rękopisów opowiadań, uprzednio pokazując je matce. Ta jednak przeczytała je wszystkie z uniesionymi brwiami, lecz nie skomentowała w żaden sposób twórczości córki. Wymruczała tylko kilka słów o strachu przed strażą graniczną, która mogła w jidyszowych tekstach wywęszyć jakiś spiszek. Ester podarła więc wszystkie teksty i wyrzuciła przez okno wagonu, tym samym uniemożliwiając nam poznanie zawartości pierwszych prób literackich w rodzinie Singerów. Do pisania powróciła wiele lat później.

W 1936 roku powstała zbeletryzowana autobiografia autorki, *Taniec demonów* (w 1946 r. książka ukazała się po raz pierwszy w angielskim przekładzie Maurice'a Carra pod tytułem *Deborah*). W 1944 r. ukazała się kolejna powieść – *Diamenty*, a w 1949 r., w Londynie, wydano zbiór opowiadań pt. *Rodowód* – opowiadania i szkice (*Jiches – dercejlungen un skien*). Choć odnoszący w Stanach Zjednoczonych sukcesy bracia odmówili siostrze pomocy w przeprowadzce do Ameryki, czy też rozpropagowaniu jej utworów, to Baszewis zdawał się podziwiać jej talent i twierdził nawet, że nie zna w kręgach literatury jidysz autorki lepszej, niż ona. Wspominał też, że nie kto inny, jak Hinde Ester, objawiła jako pierwsza literacki talent w rodzinie. To jednak nie wystarczyło, aby spopularyzować jej pisarstwo za życia.

Oprócz cierpienia spowodowanego brakiem spełnienia w życiu zawodowym i osobistym, zaczęły dawać się we znaki wahania nastrojów, wybuchy złości, a także epilepsja, na którą cierpiała od dziecka. W Urzędzie mojego ojca Baszewis opisał ją jako śmiejącą się bez opanowania, a następnie mdlejącą. Jeden z londyńskich psychiatrów zdiagnozował u niej psychozę i stwierdził w rozmowie z jej synem, że stanowi zagrożenie dla siebie samej. Z wiekiem urojenia nasilały się, wierzyła że prześladowają ją demony i dybuki. Wbrew żydowskiej tradycji, kazała skremować się po śmierci, obawiając się, że diabelskie moce będą ją dręczyć, jak czyniły to za życia.

Przełomem w poznawaniu twórczości Ester Kreitman okazało się dla mnie spotkanie z jej wnuczką. Nie byłam zaskoczona sposobem, w jaki Hazel Karr, córka Maurice'a Carra, zapamiętała i opisała babkę w korespondencji ze mną, którą nawiązałam pod koniec 2015 roku. 11 marca 2016 r. wybrałam się do Paryża na spotkanie z nią, aby porozmawiać o jej

przodkach, w nadziei, że udzieli mi cennych i nieznanych jeszcze informacji na temat Ester Kreitman. Tym sposobem pojawia się trzecia postać kobiety z rodziny Singerów, niezwykła i inspirująca Hazel Karr. Podczas mojego pobytu we Francji przeprowadziłyśmy liczne rozmowy na temat jej rodziny, ale też na wiele tematów osobistych. Mimo dzielącej nas znacznej różnicy wieku – szybko znaleźliśmy wspólny język.

Hazel Karr podarowała mi kopię rękopisu ojca, w całości poświęconego wspomnieniom o matce Hindele, jak ją pieśczoćliwie nazywał, zatytułowanego *The Other Exile*, oraz swoje własne wspomnienia, wprawdzie nieco zamglone, jako że miała zaledwie dwanaście lat, kiedy Hinde Ester zmarła.

– Demony naprawdę istnieją! – wykrzyknęła Hazel, kiedy po długich poszukiwaniach w sieci, swoim atelier i innych źródłach udało jej się znaleźć dla mnie oryginalną wersję *Jiches* w jidysz (dysponowałam jedynie przekładem angielskim). Znalazła ją pod stertą swoich notatek, książek i obrazów, po tym, jak spędziłyśmy kilka godzin w paryskim Centrum Kultury Żydowskiej, poszukując oryginalnej edycji. Wierzy w demony równie mocno, jak wierzyła w nie Hinde Ester.

Hazel zaprosiła mnie do swojego mieszkania w urokliwej paryskiej kamienicy, kilkadziesiąt metrów od dworca Gare de l'Est. Wjechałam windą na górę, przywitała mnie całusem i z miejsca zaproponowała alkohol. Poprosiłam o herbatę. Mieszkanie jest prawdziwie artystyczne, spore, jak dla jednej osoby, jednak po sufit wypełnione książkami, obrazami, szkicami, antycznymi meblami i kwiatami. Gospodyni oprowadziła mnie, pokazała maleńką kuchnię, sypialnię oraz atelier, w którym trzyma wszystkie swoje obrazy – niektóre maleńkie, a inne wręcz ogromne; część z nich to portrety jej matki Loli Carr, również malarki, Soni i Fuchsa (dziadków Hazel ze strony matki), a także braci Singerów i samej Ester, inne zaś abstrakcyjne. Jednak na każdym z nich można dojrzeć maleńkiego króliczka z Alicji w Krainie Czarów. Po obejrzeniu wszystkich dzieł zaprosiła mnie do okrągłego stolika w salonie, na którym siedziała dumnie kotka Ophelia. Delikatnie pchnęła łapką stojącą na stole maselnickę, a jej pani podniosła wieko. Ophelia z apetytem zjadała masło, a my zaczęłyśmy rozmawiać.

– Dla mnie babka nie była pisarką Ester Kreitman – zaczyna swoją opowieść Hazel Karr. – Nazywałam ją Buba. Pierwsze związane z nią wspomnienia to te z domu dziadków w Londynie, tego, który zapamiętałam jako miejsce ciemne, zagracone, zamglone i przyprawiające o ciarki. Babka była przysadzista, zawsze nosiła ciemne ubrania, a czarne włosy okalały jej bladą twarz... I te błękitne oczy, tak blade, że niemal przezroczyste. Przerażała mnie jej osoba. Dziadek był nieco bardziej radosny. Lubiliśmy siadywać razem przy ogniu z kuchni węglowej, który zdawał się wcale niczego nie ogrzewać. Na pewno były jakieś jasne, słoneczne dni, ale ja ich nie pamiętam. Nie pamiętam też, żeby babka kiedykolwiek obdarowała mnie szczególną uwagą. Nie była typową żydowską babcią o zaróżowionych policzkach, która przygotowywała dla wnuczki apfelstrudel.

Z czasem dochodzę do wniosku, że musiała o mnie myśleć poniekąd jak o przekleństwie, ponieważ to ja byłam powodem, dla którego jej syn ożenił się z moją matką. Z podsłuchanych przeze mnie rozmów rodziców wiem, że Ester spodziewała się, iż Maurice zostanie z nią do końca życia i będą razem przesiadywać przy kuchennym stole, oddając się pisaniu. Tak więc wtargnięcie mojej matki Loli w ich życie było tragedią, której nigdy nie przeboleła. Lola urodziła się w Wiedniu, gdzie jej ojciec, Abraham Mosze Fuchs, był uznanym żydowskim pisarzem i dziennikarzem. Pisał artykuły do „*Forverts*” („*Jewish Daily Forward*”). Kiedy armia Hitlera najechała Wiedeń, moją matkę i dziadków zamknięto w więzieniu. „*Forverts*” zapłacił sporą sumę, aby ich stamtąd wydostać. Wsiadli więc do pociągu jadącego do Paryża, a potem do Londynu, gdzie mieszkało dwóch braci Fuchsa. Pewnego dnia dziadek włożył na

głowę kapelusz, a na dłonie rękawiczki (miał w sobie coś z dandysa) i zabrał ze sobą córkę Lolę, aby złożyć wyrazy uszanowania znakomitej pisarce jidysz, Ester Kreitman. Jakby spotkały się dwie rodziny królewskie. Mojego ojca oszołomiła niezwykła uroda Loli, a także hucpa, z jaką odnosiła się do ojca, podczas gdy on sam zawsze darzył swoją matkę ogromnym szacunkiem. Wtedy Lola była mężatką, więc Ester nie widziała w niej zagrożenia i nie oponowała, kiedy Maurice zaoferował się, że oprowadzi ją po Londynie. Ester jednak się myliła. Ponieważ przydarzyłam im się ja, Lola wzięła rozwód z ówczesnym mężem, a mój ojciec opisuje ten moment, kiedy stojąc w kuchni objął moją matkę ramieniem, co w tamtych czasach oznaczało nic innego, jak „Pobieramy się”. Urodziłam się więc w trakcie wojny, w niezbyt radosnym okresie. Pamiętam Lolę z aureolą blond włosów i Ester z burzą czarnych loków, jak stoją przy kuchni węglowej, obrzucając się nawzajem obelgami, zaś ojciec siedzi przycupnięty na stołku pomiędzy nimi. Nie miał pojęcia, jak radzić sobie z tymi dwiema kobietami, z których jedna była przekonana, że uratowała męża przed apodyktyczną matką, a druga, że jej syn został jej zwyczajnie skradziony. W rzeczy samej, Ester była bardzo zaborcza, jednak nie w stosunku do męża, którego nawet nie lubiła, ale w stosunku do jedyne go syna, Mojszele. Kiedy w młodym wieku mój ojciec napisał książkę zatytułowaną <<The House of Napolitano>>, która zebrała bardzo dobre recenzje, został zaproszony do prestiżowego klubu pisarzy The Pen Club. Tyle, że matka nalegała, aby zabrał ją na pierwsze spotkanie. Nigdy więcej już tam nie wrócił. Maurice jednak kochał Hindele i miał poczucie, że opieka nad nią to jego życiowa misja. Dlatego mam wrażenie, że fakt, iż poznał moją matkę, był poniekąd tragedią również dla niego samego; miał przez to wyrzuty sumienia do końca życia. W Paryżu przez pięć lat mieszkaliśmy z rodzicami w hotelu. Wiele lat później dowiedziałam się, że rodzice nie zamienili go na mieszkanie, żeby Ester nie mogła się do nas wprowadzić. Zawsze nieco bałam się Ester. Kiedy miałam dwanaście lat, widziałam ją po raz ostatni. Byłam sama w mieszkaniu, w którym mieszkaliśmy od niedawna. Zadzwoił dzwonek, a w drzwiach stanęła ona – bledsza niż kiedykolwiek. „Wpuść mnie, zaraz zemdleję” – powiedziała. Byłam zaskoczona, że nikt nigdy nie ostrzegł mnie, abym nie wpuszczała jej do środka. Zaproponowałam, aby się położyła. Czekala więc, aż wrócą rodzice. Czułam się nieco urażona faktem, że zachowała się tak dramatycznie, tak jakbym mogła kiedykolwiek zamknąć drzwi przed nosem własnej babki. Wszelkie inne informacje na temat Hinde znam z opowieści ojca. Powiedział mi na przykład, że po zaaranżowanym ślubie oboje z mężem zwrócili się przeciw tradycji – Ester wyrzuciła swoją perukę, a Awrum zgolił brodę. Kiedy ojciec Awruma, reb Gedalja Kreitman, który regularnie wysyłał im pieniądze, dowiedział się o tym, odciął ich od rodzinnych funduszy i zostawił bez grosza. Pozostali więc biedni do końca życia, Awrum naprawiał zamki w damskich torebkach, a Ester szydełkowała, a nawet otworzyła mały sklepik spożywczy. Czuła się tym upokorzona.

Ojciec zapamiętał, jak Ester, którą w swych wspomnieniach nazywa Hindele, opowiadała mu nieskończone historie o „alte heim” (dosł. jid. „stary dom”, w sensie dawnego kraju zamieszkania) i o swoich „dzikich snach”. Jedno z opowiadań było o tym, jak jako mała dziewczynka bała się demonów, które czały się w mroku nocy i spragniona towarzystwa zachęcała młodszego brata, Icchoka, żeby wspiął się na jej łóżko, a ona opowie mu jakąś historię. Icchok, kiedy dorósł, zaczął opowiadać własne historie i kto wie, może niektóre są inspirowane tymi, które siostra opowiadała mu przed laty. Opowiedział mi też o spotkaniu, na które rodzina zaprosiła Ester do Polski, a na którym została potraktowana z takim samym chłodem, jakiego doświadczyła, jako mała dziewczynka. Batszewa przywitała ją wtedy słowami: „Cóż, Hindele, nie jesteś wcale tak brzydka, jak się spodziewałam”. Maurice napisał też o śmierci Ester, w której nadejście nie wierzyła. Pewnej nocy zmarła jednak w trakcie snu z nogami na poduszce. Maurice Carr tuż przed śmiercią wspomniął wydarzenie z Antwerpii, kiedy będąc w podróży do Polski Ester upadła na ziemię, a z jej ust wyciekła piana spowodowana wstrząsem epileptycznym. Wspomnienie wywołało w nim bardzo silne

emocje. Wybuchł niepohamowanym płaczem. Ani ja, ani Lola nie wiedziałyśmy, jak go pocieszyć. Może Maurice i Ester są teraz razem w niebie, siedzą przy kuchennym stoliku i piszą? Nieciekawa refleksja... Co się stanie, kiedy Lola tam dotrze...?

Zapiski z pozostałych rozmów z Hazel Karr zachowam na razie dla siebie. A jej obrazy czytelnicy mogą obejrzeć na jej stronie internetowej www.hazelkarr.com

Gdyby Ester Singer Kreitman żyła i tworzyła dziś, być może miałaby szansę zaistnieć na szerszą skalę i spełnić swoje ambicje. Nigdy się tego nie dowiemy. Nie mam jednak wątpliwości, że była osobą utalentowaną. Opowiadania zawarte w *Rodowodzie* opisują życie w żydowskich miasteczkach w Polsce oraz warunki życia Żydów w Londynie w trakcie wojny. Ten realizm pozwala nam przenieść się w tamte miejsca i w tamte czasy, a pozorna prostota językowa, jaka cechuje teksty, powoduje, że czytelnik ma szansę poznać historie bohaterów wprost i bez upiększeń.

Z czystym sumieniem mogę nazwać Ester Kreitman artystką. Artystką, która tworzyła i odbierała bodźce z zewnątrz silniej niż przeciętny człowiek. Cieszę się, że udało mi się w pewien sposób przypomnieć, a raczej przedstawić polskim czytelnikom postać pisarki, która nie została dotąd należycie dostrzeżona. Mam nadzieję, że ta książka zachęci polskich czytelników do zapoznania się z jej twórczością. To przecież w Polsce wszystko się zaczęło.

Natalia Moskal

1 Clive Sinclair, Esther Singer Kreitman: The Trammeled Talent of Isaac Bashevis Singer's Neglected Sister – „Lilith”, wiosna 1991, s. 8–9.

2 I. J. Singer, *Of A World That Is No More*, Vanguard Press, New York 1970, s. 29–30. Cyt. za Janet Hadda, *Isaac Bashevis Singer – historia życia*, przeł. M. Adamczyk-Garbowska, Muza, Warszawa 2001, s. 26.

3 M. Carr w artykule wspomnieniowym *My Uncle Yitzhak: A Memoir of Isaac Bashevis Singer*, „Commentary”, nr 12, 1992, s. 25–32.

4 Cyt. za Magdalena Ruta, <<Taniec demonów>>, czyli wizja świata w literackiej biografii Hinde Ester Kreitman, w: *Biłgoraj, czyli raj... Rodzina Singerów i świat, którego już nie ma*, red. Monika Adamczyk-Garbowska i Bogusław Wróblewski, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2005, s. 153.

Nowy świat

Początkowo czułam się nieszczęśliwa, leżąc w brzuchu mojej mamy. Było tam tak gorąco! Kręciłam się, kuliłam, udawałam, że wcale mnie tam nie ma. Tak to wyglądało z mojej perspektywy.

Pięć miesięcy później, kiedy zaczęłam odczuwać oznaki życia, wreszcie to do mnie dotarło... Byłam śmiertelnie znudzona całą tą sprawą! Naprawdę miałam dość. Ale najbardziej męczyło mnie ciągłe leżenie w ciemnościach, więc zaczęłam się buntować. Któż mógł mnie jednak usłyszeć? Płacz nie był rozwiązaniem. Pewnego dnia, kiedy zrozumiałam, że łyzy nic nie pomogą, zaczęłam szukać innych sposobów, by się uwolnić.

Pragnęłam tylko jednej rzeczy – wydostać się stamtąd.

Po dłuższych rozważaniach doszłam do wniosku, że najlepiej będzie wszczać kłótnie z moją matką. Kręciłam się więc, wierzgałam nogami z wściekłością, często szturchałam ją w żebra;

nic nie mogło mnie powstrzymać. Jednak te wszystkie wysiłki szły na marne. Udało mi się jedynie wyrobić sobie opinię na tyle złą, że za każdym razem, kiedy zwyczajnie zmęczyło mnie leżenie na jednym boku i chciałam przewrócić się na drugi, dla nieco większej wygody, wszyscy od razu narzekali. Cóż, krótko mówiąc, nie zabrnęłam zbyt daleko. Musiałam spędzić tam całe dziewięć miesięcy, do samego końca!

Pocieszałam się więc, że muszę pogodzić się z tym, że wydostanę się dopiero później, gdyż nie mam innego wyboru. Kiedy wreszcie wypuszczą mnie na ten Boży świat, będę przynajmniej wiedziała, jak się zachować.

Z kilku powodów nie miałam wątpliwości, że będę ważnym gościem. Po pierwsze, słyszałam rozmowy mojej matki z jakąś kobietą, która później okazała się być moją babką.

– Trochę boli, ale prawie tego nie czuję – powtarzała mama. – Jestem taka szczęśliwa. Och, tak bardzo bałam się bezpłodności. Czy mi wierzysz? Dwa lata po ślubie i wciąż żadnych oznak, że to w końcu się stanie. Minka, ta bezpłodna, również była niegdyś przekonana, że pewnego dnia urodzi dziecko. Pomyślałam zatem, dlaczego miałabym mieć więcej szczęścia niż ona?

– Cóż, całe szczęście! Z Bożą pomocą, wszystko przebiegnie pomyślnie, a złe лихо, Boże broń, nie wejdzie w paradę – za każdym razem odpowiadała moja babcia. Z tych rozmów łatwo wywnioskowałam, że będę mile widzianym gościem.

Wiedziałam, że tutaj, w tym innym świecie, w którym istniałam jako dusza, kiedy spodziewano się ważnej osobistości, wszyscy przygotowywali się odpowiednio, by przyjąć ją bardzo uroczystie.

Przed wszystkim niezmierzona jasność rozprzestrzenia się na niebiosach. Zlatują się anioły, by tę osobę przywitać: radosne, olśniewające i odziane w jasne promienie słońca. Otaczają ją cherubini, którzy emanują tak świętą radością, że człowiek żałuje, iż nie umarł wcześniej. Nie powinno być zatem zaskoczeniem, że jako bardzo ważny, długo oczekiwany gość, spodziewałam się przyjść na świat w jasnym domu, do którego światło wpada przez otwarte okna.

Nie mogłam się doczekać, aż każdego ranka powita mnie bezlik ptaków śpiewających dla mnie piosenki. Ponadto, miałam urodzić się pierwszego dnia adar – miesiąca radości w kalendarzu żydowskim. „Gdy rozpoczyna się adar, ludzie się radują”.

I wtedy nadeszło ono – moje pierwsze rozczarowanie.

Moja matka leży w maleńkiej izdebce, alkowie. Sypialnia jest udrapowana ciemnymi zasłonami, które nie przepuszczają nawet najmniejszego promienia słońca. Niewielkie okno zostało szczelnie zamknięte, tak, aby, broń Boże, nie wdarła się do środka choćby odrobina świeżego powietrza. Nie wolno się przecież przeziębnić. Ptaki najwyraźniej nie były zainteresowane tym brakiem światła i zamkniętymi oknami, więc udały się gdzieś w poszukiwaniu lepszego, swobodniejszego miejsca do śpiewania swoich piosenek. Jako że okazałam się dziewczynką, nie było mowy o szczęściu. Wszyscy obecni w pokoju byli tym faktem niezmiernie rozczarowani, nawet moja matka.

Krótko mówiąc, brak tu jakiegokolwiek szczęścia. Mam już prawie pół godziny, jednak pomijając kilka klapsów od jakiejś kobiety w chwili, gdy przyszedłam na świat, nikt na mnie nie patrzy. Jest mi tak smutno!

Wchodzi babcia i uśmiecha się do mamy. Wydaje się radosna – prawdopodobnie dlatego, że jej córka przetrwała całą tę mękę i czuje się dobrze. W moim kierunku rzuca jedynie zdawkowe spojrzenia.

– Mazł tow, córko, obyś żyła długo!

– Mazł tow, aby wszystkim sprzyjał los!

Mama również się uśmiecha, ale nie do mnie.

– Byłabym szczęśliwsza, gdybym urodziła chłopca – mówi. Babcia mruga szelmowsko i pociesza ją:

– Nie szkodzi. Przyjdzie czas i na chłopców.

Trudno uwierzyć w to wszystko, co słyszę. Po co w ogóle się urodziłam, skoro ta cała radość nawet mnie nie dotyczy! Mam tego dość. Och, jak bardzo chciałabym wrócić do tamtego świata!

Nagle czuję dziwny chłód na całym ciele i wszystkie myśli zostają zepchnięte na bok. Czuję się ściśnięta między dwie mięsiste dłonie, które unoszą mnie wysoko w powietrze. Cała się trzęsę. „Może – w mojej głowie pojawiła się przerażająca wizja – może włożą mnie z powrotem do środka na kolejnych kilka miesięcy?”. Brr! Sama myśl o tym przyprawia mnie o ciarki.

W tym momencie coś sprawia, że moja głowa płynie i wszystko naokoło zaczyna się kręcić. Jestem kompletnie przemoczona, w całej swojej maleńkości! Czy znajduję się w rzece? Nie, przecież rzeka jest zimna i przyjemna, a ja czuję delikatne ciepło. Jednak nie przeszkadza mi to w takim stopniu, jak obawa przed tym, co zrobią te dwie wielkie, niezdarne dłonie. Jestem zdana tylko na nie.

Dzięki Bogu! Wyjęto mnie z wody! Teraz niosą mnie z powrotem do alkowy, osuszoną i ubraną. Jestem przekazywana z rąk do rąk, każdy patrzy przez chwilę, mówi kilka słów. Wkładają mnie z powrotem do łóżka. Mama daje mi do ust coś słodkiego i płynnego; jestem spragniona wszelkich wrażeń, jakie ma mi do zaoferowania świat.

Mama patrzy na mnie czule i łagodnie, aż robi mi się ciepło na sercu. Ogarnia mnie błogie zmęczenie i wkrótce zatracam się we wspnianym śnie...

Moje szczęście nie trwa jednak długo. Zostaję brutalnie obudzona przez jakieś krzyki. Otwieram oczy i rozglądam się. Skąd dochodzą te dźwięki? Kto tak krzyczy? To moja mama! Naokoło zebrała się grupa ludzi.

– Co się stało? Dlaczego krzyczysz?

Mama gestykuluje, próbuje coś wskazać. Jej usta się trzęsą, stara się coś powiedzieć, ale nie może. Zanurza się z powrotem w pościel i niemal mdleje.

Zdawszy sobie sprawę, że nie uda im się nic wyciągnąć z mojej matki, zaczynają szukać wszędzie – w szafie, pod łóżkiem i w łóżku.

Nagle rozlega się krzyk akuszerki. Dziwnym, głuchym głosem krzyczy bez końca: „Koty! Ratunku! Koty!”.

Ludzie wymieniają spojrzenia, nie rozumiejąc, co się stało. O co jej chodzi? Z wyjątkiem słowa „koty” nie udaje im się z niej nic wyciągnąć. Jest tak wzburzona.

Moja babka jest wyraźnie poruszona całym tym dramatem. Udaje jej się jednak zebrać w sobie i rozejrzeć dookoła łóżka. Wybuchą śmiechem, i, maskując swój własny strach, woła:

– Mazł tow, nasza kotka urodziła małe, to dobry znak!

Najwyraźniej nie jest to wcale taki dobry znak. Obecni w pokoju ludzie są niespokojni. Szepczą coś między sobą.

– Tego samego dnia... w tym samym łóżku, co koty?

– Ludzie rodzą się przecież w ten sam sposób, co koty.

Udało im się uspokoić moją matkę. Nadal nikt nie patrzy na mnie. Mama zasypia i dzień dobiega końca. Mam, dzięki Bogu, jeden dzień, a już tyle przeżyłam.

Trzeci dzień po moich urodzinach to szabas. Jakaś wielka kobieta, gojka o czerwonej twarzy, zabrała mnie do kąpieli. Nie boję się już tak, jak wcześniej, ponieważ wiem, co się dzieje.

Razem z mamą leżymy w łóżku, a ona patrzy na mnie z jeszcze większą czułością, niż wczoraj. Otwieram oczy, chcąc jeszcze raz spojrzeć na ten nowy świat. Przyzwyczaiałam się już do ciemności, ale nagle robi się jeszcze ciemniej niż zwykle.

Do alkowy wchodzi grupa kobiet. Patrzą na nie, mówią coś, wykonują gesty dłońmi, biorą mnie w ramiona i przekazują sobie jak jakiś cenny klejnot. Uśmiechają się do mnie i mojej mamy. Tymczasem do alkowy wchodzi babcia z tacą pełną ciastek i likierów, i niemal błaga kobiety, aby się poczęstowały. Udają, że nie chcą spróbować poczęstunku – konfitur, wiśniaku, soku z jagód i pitnego miodu. Babcia jednak się nie poddaje, a one w końcu otwierają swoje małe dzióbki i decydują się coś zjeść, aby sprawić jej przyjemność.

Mężczyźni również zaglądają do kobiecej alkowy. Rozmawiają, a ich twarze wykrzywiają się w ciągłym grymasie. Wymachują dłońmi, a ich brody trzęsą się w ogólnym podnieceniu, co wygląda niemalże jak konwulsje.

Tym razem to nie babcia, lecz mój ojciec rządzi. Otrzymałam imię po jednej z jego krewnych
– Sara Rywka.